

Jancyk

10 maja 2008

Onegdaj, gdy świat był świeży, jak świeża może być rana, gdy przedwcześnie zerwie się plaster, chodzili po świecie ludzie i bogowie. Ludzie byli prości, mieszkali w drewnianych domach i dzień w dzień wieszczili koniec świata. Uprawiali przy tym pola, hodowali zwierzęta. Nie walczyli, albo szło im to bardzo opornie. Żyli w pokoju ze sobą wzajem i innymi plemionami, a także ze zwierzem wszelakim.

Po lasach przechadzali się bogowie rozmaici pod postacią wiatrów, zwierząt albo starców z długimi brodami. A jeden pośród nich był najważniejszy i najpotężniejszy. I choć nie on stworzył ziemski padół dziwnym zrządzeniem boskich losów przyszło mu sprawować pieczę nad światem. A ponieważ ludziska powiadali, że widzi wszystko Światowidem go nazwali i czcili najlepiej jak mogli, bo dobry był.

Dbał o wszystko i starał się harmonię trzymać w świecie. Wychodziło mu to wspaniale. Lecz pewnego dnia popełnił błąd, gdy starał się zmajstrować nowego drapieżnika, by zapobiec pladze królików, co wyžerały uprawy. Coś poszło nie tak, energia uciekła nie tam gdzie trzeba i przez kilka dni i nocy błąkała się po lasach. Wydawać by się mogło, iż będzie spokój, że rozlezie się energia i co najwyżej jakiś grzyb albo robak się rozświeci, jak dawniej bywało. Tym razem jednak stało się coś odmiennego. Po kilku dniach rumor przepotężny przetoczył się po lesie i spłoszył zwierzęta. A pod niebo buchnął płomień i słup smolistego dymu lizał chmury przez kilka dni. Znów było cicho, lecz niepokój dziwny las wypełnił.

Szukał Światowid przyczyn tego rabanu, lecz las zbyt gęsty i zbyt rozległy był nawet jak na jego moce. Na dodatek dym woni nie posiadał. Tymczasem...

Narodziła się istota przedziwna, jakiej nikt jeszcze tu nie

widział. Człowiekom podobna, lecz spojrzenie miała tak zwierzęce, iż najmężniejszy lękał się jej w oczy patrzeć. Błąkało się toto przez dni kilka po lesie, rozsiewało strach, aż dnia pewnego zabłąkało się pod domostwa ludzi.

Ludkowie jakby przeczuwali, że coś się święci. Wybiegli nagle, jak na komendę, przed chaty każdy w jakieś kosy lub widły uzbrojony. A ono, to szkaradztwo, na widok którego każdy odium straszne poczuł, stało sobie i szczyrzyło zębiska, całkiem ludzkie zresztą a łeb cały krwią zalany jakby kto jej chciał włosy nożem zdjąć. Podniosło dłonie i zobaczyli, że dziury ma w nich, jakby je kto gwoździami przebił. Słyszeli po prawdzie ludzie, że gdzieś daleko jacyś boga swego do belek przybili. I pomyśleli, że może rację mają ci przedziwni mędracy co o takim ciągle rozpowiadają i jeszcze są z tego dumni. Zadrżeli tedy z trwogi i lament podnieśli wielki. A ono tymczasem uniosło się nad ziemię i wleciało do pierwszej chałupy jaką zobaczyło. Tłum otoczył chatę, a wejść nikt się nie ważył bo rumor straszny stamtąd dobiegał. Z komina i okien wszystkich ogień i dym trysnął. Rozwarły się drzwi i wyskoczyło to coś pieca dosiadając jak rumaka rączego, buchającego ogniem i dymem. Staął na tym dziwadle dęba i krzyknął:

– Miejcie mnie w myśli, ludkowie, powrócę tu kiedyś jak teraz mnie widzicie. Ale niewidoczny dla oczu zawsze wśród was będę!

I pogalopował w ciemny las i do dziś tak podobno galopuje. Ludzie, choć go później nikt nie obaczył, powiadają, że dymem mamy do dziś ludzkie głowy.

Światowid natomiast zaszył się w lesie i po dziś dzień jako szum wiatru bądź stare drzewo można go obaczyć.

Autor: Adam Blank

Źródło: [Czytelnia Basnie.pl](http://Czytelnia.Basnie.pl)